



GORZOWSKI MAGAZYN FANTASTYCZNY

Landsberg

NUMER 1(7)/2021

ISSN 2657-5280



WSTĘPNIAK

APOKALIPSA NA SERIO I W KOLORZE

Ponoć w stanie emocjonalnego uniesienia, podczas zebrania redakcji, redaktor naczelny wykrzyknął: „zniszczmy to miasto!” i tak powstał pomysł na numer o tematyce *apokalipsa* i *postapokalipsa*. Inni twierdzą, że to pandemia nasunęła myśl o tematyce postapokaliptycznej, wszak obrazki, które oglądaliśmy w telewizji, przywoływały skojarzenia z końcem świata, a przynajmniej końcem takiego świata, jaki znaleźliśmy. Do tego zastępca redaktora od ponad dekady pisze recenzje wszelakich dzieł kultury zorientowanych konkretnie w tym nurcie i marzył o właśnie takim numerze tematycznym. Historii o tym, jak doszło do powstania niniejszego zeszytu „LandsbergONu”, jest tak wiele, jak wiele jest wyobrażeń apokalipsy. W tym numerze poznać zaledwie kilka z bardzo bogatej gamy tych imaginacji.

By lepiej to zrozumieć, zacznijmy od pytania: kiedy? Mogą przydać się tu pojęcia takie jak *preapo* i *postapo*, czyli odpowiednio: przed i po apokalipsie. W kulturze popularnej dzieła postapo można przeważnie włożyć na półkę z literaturą science fiction, ale wizje tego, co nastąpi, mają bardzo szeroki rozstrzał. Wystarczy wspomnieć, że akcja może się toczyć tak tuż po katastrofie, jak i sto, dwieście czy nawet milion lat później, zaś autor ukazuje nam, jak świat zmienił się przez ten czas i jak to wpłynęło na priorytety ludzi.

Przejdźmy do pytania: jak? Apokalipsa może przyjąć różne formy: wojnę (najczęściej nuklearną), niszczący wszystko na swojej drodze naturalny kataklizm czy dziesiątkującą ludzkość pandemię. Z bardziej przaśnych zdarzeń na uwagę

zasługuje atak zombie, robotów lub obcych. Czasem jednak szczegóły całkiem się zacierają, bo istotniejsze jest *teraz* – jak przetrwać i jak pozostać przy tym człowiekiem.

Pytania o granicę człowieczeństwa jednostki wobec końca cywilizacji zadawali choćby Cormac McCarthy w „Drodze” czy José Saramago w „Mieście ślepców”. To również bardzo plastyczna wizja, która z może nawet większym powodzeniem malowana jest w filmach czy grach, czyniąc głównym miejscem akcji pustynie i ruiny miast („Mad Max”, „Fallout”, „Wasteland”) czy kanały i metra („Metro 2033”). Mamy także polskich autorów tworzących wizje świata poatomowego. Należą do nich: Robert J. Szmidt, autor „Apokalipsy według Pana Jana”, oraz Artur Chmielewski i Paweł Majka, którzy rozbudowują „Uniwersum Metro 2033” o historię rozgrywającą się w większych polskich miastach. Czy wcześniej pokazano postapokaliptyczny Gorzów? Odpowiedź brzmi: tak. Część opowiadań z ogólnopolskiego „Projekt 13” (2012) zahaczała o Gorzów – Perłę Pustkowi.

Ale nie tylko apokalipsa jest motywem przewodnim tego numeru. Spełnia on też marzenie redaktora naczelnego o numerze komiksowym. W tym wydaniu znajdziecie dwie opowieści graficzne. Jeśli opowiadania są dla wielu brzydszą siostrą epickich opowieści, to komiksy w świecie literatury były przez długi czas ich niepoważnym młodszym bratem trzymanym wstydliwie w szafie. Komiksy kojarzyły się z opowiastkami dla dzieci i nastolatków, a nie z poważną literaturą. Nie

bez powodu Peter Straub napisał w posłowniu do komiksu „Ulotne życia” (tomu z cyklu o Sandmanie), że „Jeśli to nie jest prawdziwa literatura, to nic nią nie jest”, a Stephen King we wstępie do gaimanowskiego „Końca światów” tłumaczył, że „obrazkowy z dymkami nie znaczy głupi”. Nieprzypadkowo jest tu wspomniany Gaiman, gdyż jego cykl o Sandmanie zdecydowanie zrewolucjonizował komiks, korzystając z mitologicznych motywów i archetypicznych odniesień. Jeśli ktoś jeszcze wierzy, że komiksy to zaledwie historyjki o superbohaterach w trykotach, to musiał przeoczyć absolutne trzęsienie ziemi, jakie wywołała powieść graficzna „Maus” Arta Spiegelmana. Prostą kreską i wykorzystując postacie zwierząt Spiegelman stworzył przejmującą opowieść o holokauście. Początek drugiego tomu, w którym autor sportretował samego siebie rysującego i udzielającego wywiadu na wielkiej górze trupów, to jeden z najbardziej wstrząsających kadrów w historii komiksu. Mamy nadzieję, że komiksy zawarte w tym zeszycie pozostawią czytelników z przekonaniem, że jest to prawdziwa literatura, a „obrazkowy z dymkami nie znaczy wcale głupi”.

P.S. Moja wizja apokalipsy to nie żadna wielka katastrofa. To powolny zmierzch cywilizacji, po której pozostaną nieliczne świadectwa, jak ruiny gorzowskiej katedry ukazane na okładce tego numeru.

Mariusz Sobkowiak
redaktor naczelny

Kamil Kwiatkowski
zastępca redaktora naczelnego

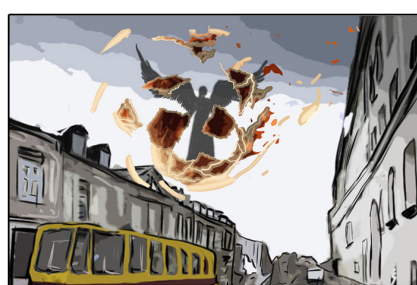
Ten numer dedykujemy pamięci Ireneusza K. Szmidta w podziękowaniu za jego zasługi dla lubuskiej kultury i wszelką pomoc, jakiej udzielał gorzowskim fantantom.

PIEKŁO



Nikt ich nie pozbiera ani pogrzebie,
lecz staną się nawozem na
powierzchni ziemi. (Jer 8.2)















Wszyscy pozostali będą wybierać
raczej śmierć niż życie.
(Jer 8.3)





SCENARIUSZ:
MARIUSZ SOBKOWIAK

RYSUNEK:
MARLENA KOWALCZYK

L'ASILE

Ogromne krople deszczu uderzały w zarośnięty asfalt, który dawno temu tworzył płaską nawierzchnię. Teraz korzenie pobliskich drzew powybiły w nim dziury, kształtując górki i doliny ukryte w gąszczach. Niewiele było widać w okolicy – wszystko skrywała gęsta, szara mgła, która nigdy nie zniknęła. Wznosiła się tak wysoko, że zastaniała gwiazdy i księżyc.

Jean nigdy nie widział gwiazd. Ani księżyca. Odkąd pamiętał, niebo było skryte albo mgłą, albo czarnymi, burzowymi chmurami. Nierzadko tym i tym. Znał opowieści zasłyszane od innych wędrowców, znał dawne legendy o błękitnym firmamencie, po którym płynęły mleczne obłoki, albo o barwnych zachodach słońca, ale nie spotkał nikogo, kto widziałby te cuda na własne oczy. Podobnie słyszał opowieści, że na wschodzie można było przeżyć. I choć były to tylko opowieści, dawały nadzieję i cel, a tego właśnie brakowało w jego życiu.

Przedarł się przez gąszcz i wyszedł na ledwo wydeptaną ścieżkę, którą podróżowały zwierzęta i inne kreatury, w tym ludzie. Oraz to, co kiedyś było ludźmi. Niewiele był w stanie zobaczyć, ale ze wszystkich sił uważnie przypatrywał się ziemi, po której miał przejść, szukając oznak, że dawno nic tędy nie przechodziło. Ostatnim czego potrzebował, było towarzystwo innego stworzenia. Ostrożnie stawiał każdy krok, kulejąc na lewą nogę, w której zaledwie kilka dni temu skręcił kostkę. Czuł rwący ból, biegnący wzdłuż kończyny, ale nauczył się go ignorować. Nie stać go było na zatrzymanie się w miejscu takim jak to. Musiał najpierw znaleźć schronienie, zwłaszcza że noc powoli dobiegała końca. Nie był na tyle zdesperowany ani szalony, by podróżować za dnia.

Dzień należał do duchów. Gdy wyblakłe promienie słońca, którym udało się przedrzeć przez chmury i mgłę, docierały na powierzchnię świata, budziły się duchy. Pojawiały się w tych samych miejscach, co zawsze, i trwały w beczynności, dopóki nic im tej beczynności nie przerwało. Wśród wędrowców, takich jak Jean, krążyło wiele opowieści, skąd się te duchy wzięły. Mówiono o naturalnej zaradzie, o wojnie z użyciem broni biologicznej, o skażeniu środowiska czy o inwazji obcych. Nie sposób było zliczyć wszystkich legend, wśród których mogło nawet nie być ziarna prawdy. Pochodzenie duchów zostało zapomniane, a zagrożenie z ich strony nie zmieniło się od dekad. Upiory odebrały ludziom miasta i schronienia, jakie do tej pory znali. Wiele rodzin skryło się pod ziemią, skąd nigdy nie powróciły, a słuch po nich zaginął. Prawda była taka, że nie istniały miejsca, w których duchy nie mogły się pojawić. Nigdzie nie można było czuć się pewnym i jedynie noc dawała niewielkie poczucie bezpieczeństwa.

Sztynnym ruchem poprawił kołnierz starego płaszcza, gdy poczuł szczypiące krople na karku. Zrobił kolejny krok. Tym razem mniej ostrożny, bo rozproszyło go klucie, które poczuł na skórze. Gwałtownie stracił grunt pod nogami, gdy stopą trafił w skrytą pod pnączami dolinę asfaltu. Poleciał do przodu, uderzając głową w metalowy znak. Zadźwięczało, a hałas przeszył mgłę niczym strzała, gdy Jean padł bez przytomności na posłanie z zarośli. Nie był tego świadom, ale znak, w który uderzył, wiele lat temu pełnił funkcję granicy miasta. Tablica od dawna stała samotnie w gąszczu, cała podrapana, ale mimo zdartej farby wciąż można było odczytać nazwę miasta – Gorzów Wlkp.

Otworzył oczy po wielu godzinach,

gdy było już jasno. A przynajmniej jaśniej, bo w powietrzu wciąż wisiała mgła, a chmury przesłaniały całe niebo i jedynie nieliczne promienie słońca przedostawały się przez grube warstwy pary i toksyn. Kark piekł go niemiłosiernie. Lekki wiatr znów poruszył kołnierzem, a deszcz poważnie poparzył skórę, na której pojawiły się pierwsze bąble wypełnione białym płynem. Mężczyzna czuł też pieczenie na twarzy w miejscach, gdzie skóra stykała się z liśćmi i todygami chaszczy, na których utrzymywała się woda oraz ich własne parzydełka. Jean miał ochotę zerwać się na nogi w jednej chwili i rzucić się do ucieczki w poszukiwaniu źródła bieżącej wody, jakiejś rzeki, w której mógłby zmyć z siebie toksyny, ale z trudem udało mu się powstrzymać, powtarzając sobie w głowie jedną rzecz.

Był dzień. Był dzień, a to znaczyło, że pojawiły się duchy. Najbezpieczniej byłoby dla niego zostać w miejscu i przeczekać do nocy, ale był środek lata. Nie byłby w stanie przeleżeć w trujących krzakach nastu godzin, to po pierwsze, a po drugie robiło się gorąco. Już niedługo żar zacznie się lać z nieba i nawet wszechobecna mgła nie będzie mogła przynieść ukojenia. Musiał przemieścić się do jakiegoś cienia, a to wydawało się wręcz niemożliwe.

Mimo to musiał spróbować. Bardzo powoli podniósł się na ramionach, znajdując po chwili oparcie dla kolan. Ostrożnie rozejrzał się wkoło, ale niewiele dostrzegł. Ścieżka, którą tu dotarł, kończyła się na znaku, a ze wszystkich stron otaczał go gąszcz, który ktoś mógłby nazwać puszcza. Skóra na karku napięła się i jeden z bąbli pękł, wylewając swoją zawartość. Mężczyzna syknął cicho, zanim zdołał się powstrzymać. Zaciśnął jednak zęby i stanął wyprostowany, sprawdzając niepewnie stabilność własnych nóg. Skręcona kostka wydawała się być w porządku, a druga stopa chyba była cała, choć pobolewała. Ból nie był nawet porównywalny z tym, co działo się na jego karku.

Stanął nieco pewniej, przenosząc cały ciężar ciała z jednej nogi na drugą, wciąż je testując. Musiał mieć pewność, w jakim stanie było jego ciało, by móc odpowiednio reagować w razie awaryjnej sytuacji, która z pewnością będzie miała miejsce. Tylko raz w życiu odważył się wyjść na zewnątrz za dnia i na zawsze zapamiętał widok tysięcy duchów wypełniających las. Nie oczekiwał, by tutaj było inaczej. Do tej pory jednak żadnego nie dostrzegł.

Rozejrzał się raz jeszcze, tym razem uważniej, ale wciąż nic nie widział. Zerknął na niebo, szukając bladej plamy słońca, której czasami udało się przebić przez grube warstwy mgły, ale niczego nie znalazł. Przeklął w duchu, decydując się momentalnie, by iść dalej w tym samym kierunku. Nie miał pojęcia, jakie kryjówki ominął zeszłej nocy, więc szanse na znalezienie jakiegś na nowym terenie były takie same. Powoli obszedł znak, oczekując, że za nim zobaczy jakieś duchy. Dalej jednak żadnego nie było.

– *Que...* – zaczął, ale urwał gwałtownie, gdy na jego plecy zważyło się coś ciężkiego. Ledwo utrzymał równowagę, czując ostre szpony wbijające się głęboko w ciało na wysokości nerek i rozdzierające na pół jego plecak podróżny. Krzyknął przez zaciśnięte zęby, próbując dosięgnąć przypiętego do pasa łomu, gdy kolejny zamach bestii rozorał trzy szramy wzdłuż kręgosłupa. Czując krew ciekącą po skórze, chwycił za łom i ostatkiem sił zamachnął się w kierunku łba upiora. Twardy koniec wbił się w czaszkę ducha, zwalając go z pleców Jeana. Sam Jean upadł na ziemię, brodząc krwią z ran. Widział leżące obok ducha z wyciągniętymi szponami pokrytymi posoką i podrygującym ciałem, które kiedyś należało do człowieka. Przez chwilę jeszcze wyciągał głowę, obserwując ranne widmo, którym sam miał się niedługo stać.

Został zainfekowany i doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Śmierć i przemiana były jedynie kwestią godzin,

po których na wieki będzie nawiedzał za dnia to miejsce pod znakiem, gdzie wydał swoje ostatnie, ludzkie tchnienie. Opuścił głowę i pozwolił jej opaść na gąszcza, przymykając oczy. Był już raz świadkiem przemiany. Doskonale wiedział, że zanim jego ciało zacznie się deformować, zginie. Niczego więcej nie chciał być świadomy. Gdyby miał jeszcze choć trochę sił, zakończyłby wszystko już zaraz, ale nie był w stanie podnieść ręki, a tom był wbity w czaszkę ducha. Leżał więc, ignorując wszystko, co było wokół niego. Zignorował nawet końskie rzenie i odgłos miażdżonych łodyg, zakładając, że musi to być jakieś dzikie zwierzę. Do nieruchomego ciała Jeana podszedł kary koń, przez którego grzbiet przerzucony był wytarty koc. Zarżał cicho, uderzając kopytem w ścianę krzewów. Obok zwierzęcia pojawił się starszy mężczyzna, który spojrzał na poranione plecy wędrowca i podrapał się po głowie, lekko zsuwając dziurawą, wełnianą czapkę.

– Oj, kolego, nieźle cię załatwili – westchnął ciężko i uklękł przy Jeanie.

Ten na dźwięk ludzkiego głosu otworzył oczy i spróbował coś powiedzieć. Chciał ostrzec nieznanego i błagać go o śmierć, mimo że nie rozumiał ani słowa z tego, co powiedział.

Mężczyzna sięgnął do torby przewieszanej przez ramię i wyciągnął brudną chustę, którą przykrył rany na plecach wędrowca. Ten krzyknął, a wraz z krzykiem z jego ust wydostało się francuskie przekleństwo.

– *Français?* – starszy zapytał Jeana, ale ten nie miał siły przytaknąć. Mężczyzna uśmiechnął się, zupełnie ignorując brak odpowiedzi, i zdecydowanie dźgnął się palcem w pierś, choć Jean nie mógł tego zobaczyć. – *Polonais.* Jesteś w Gorzowie. Gorzów, Polska.

– *La mort* – wyszeptał w końcu z trudem Jean, próbując podnieść głowę, by spojrzeć na głupca, który próbował mu

pomóc, ale nie był w stanie. – *La mort, s'il vous plaît.*

– Jaka tam znowu śmierć, kolego? Ciebie da się jeszcze całkiem nieźle poskładać, głowę daję – zapewnił go, wyjmując kolejne chusty z torby i okrywając krwawiące rany. Jean mamrotał w kółko swoje bezsilne błaganie o śmierć, które nie przynosiło żadnego skutku. Mężczyzna chwycił go w pasie i ze stęknieniem podniósł z ziemi. Gwizdnął na konia, który posłusznie ustawił się tak, by udało mu się przetrzucić Jeana przez grzbiet zwierzęcia, zupełnie ignorując jego błaganie i jęki.

Mężczyzna ruszył, a koń zaraz za nim. Zwierz ostrożnie stąpał po popękanych i porośniętym asfalcie, a Jean odczuwał każdy jego krok. Ledwo przytomnie obserwował zmieniający się krajobraz, który stawał się coraz mniej leśny, a coraz bardziej miejski. Choć miejski to za dużo powiedziane. Budynek podupadły w ruiny, drogi zarosły i wszędzie stały duchy, obserwujące dwóch ludzi i konia pustymi oczami. Widma odwracały się w ich kierunkach i odprowadzały wzrokiem, ale nie atakowały, choć woń świeżej krwi powinna je zwabić i rozsierdzić. Mężczyzna zdawał się ich nie zauważać i wesoło pogwizdywał, jakby był na spokojnym spacerze przed końcem świata.

Jean próbował znaleźć w tym wszystkim sens, próbował wmówić sobie, że nikt go wcale nie próbował ratować czy przewozić na końskim grzbiecie, że to wszystko był wynik halucynacji i majaków wywołanych przez gorączkę i utratę krwi, ale zbyt wyraźnie czuł każdy krok konia i czuł przebiegające po całym ciele fale bólu. Czuł, jak zmienił się zapach powietrza, jak się oczyścił, co musiało znaczyć, że zbliżali się do rzeki. Rozchylił powieki, które opadły chwilę temu, i spojrzał na świat, w którym nie władada mgła. Nie potrafił uwierzyć własnym oczom. Wokół nich duchy stały w pełnym świetle dnia, a po niebie płynęły białe chmury. I słońce...

słońce było złotą, świetlistą plamą na błękitnym płótnie. Zamrugałby, gdyby miał na to siły.

Koń odbił w bok, by wyminąć ogromny metalowy szkielet zwieńczony kopułą, który przewalił się na ziemię nie wiadomo jak dawno temu. Między jego belami stały kolejne widma rozświetlone przez nierozrzedzony blask słońca. Ich szara skóra wydawała się wyglądać zdrowiej w świetle, a potworne szpony nie sprawiały już tak potwornego wrażenia. Żaden z nich jednak nie wykazywał większego zainteresowania Jeanem ani prowadzącym konia mężczyzną. Dlatego Jean sądził, że te widma istniały tylko w jego głowie. W tym mieście nie było duchów. Niedługo miało się to jednak zmienić. Gdy wędrowiec umrze, pojawi się duch. I miasto przestanie być takie bezpieczne.

Nagle stanęli. Mężczyzna odszedł na kilka kroków, szukając czegoś w swojej torbie i mrucząc pod nosem, że znów zapomniął o czymś ważnym i że jakaś „ona” go zabije. Jean spojrzął przed siebie ledwo przytomnie i zauważył rzekę. Była tak niedaleko. Mógł się tam doczołgać. Mógł odejść od tego człowieka, póki sam wciąż był człowiekiem. Nie chciał go narażać na spotkanie z widmem. Zebrał w sobie wszystkie siły i zsunął się z konia, od razu padając na ziemię. Stłumił stęknienie i dziękował losowi, że zwier się nie spłoszył. Zaczął się czołgać w kierunku rzeki, odliczając w głowie pokonane metry oraz te, które dzieliły go od stoku, po którym zsunąłby się prosto do wody. Uparcie parł naprzód, aż sturlał się w dół. Po chwili zanurzył się w spokojnie płynącej rzece.

Nie potrafił powstrzymać odruchów. Zamachał nogami i wyptynał na powierzchnię, kaszląc i krztusząc się, ale czuł, że nie ma dość siły, by długo dryfować. Zebrał w sobie trochę sił, by odpłynąć od brzegu, gdy usłyszał za plecami krzyk.

– Kolego! Kolego, trzymaj się!

– krzyknął mężczyzna, machając ramionami do kogoś po drugiej stronie rzeki. Jean zaczął tracić siły i potykał coraz więcej wody.

– Hej, hej, pomocy!

Nurt rzeki obrócił wędrowca tak, że mógł zobaczyć, do kogo machał obcy mężczyzna.

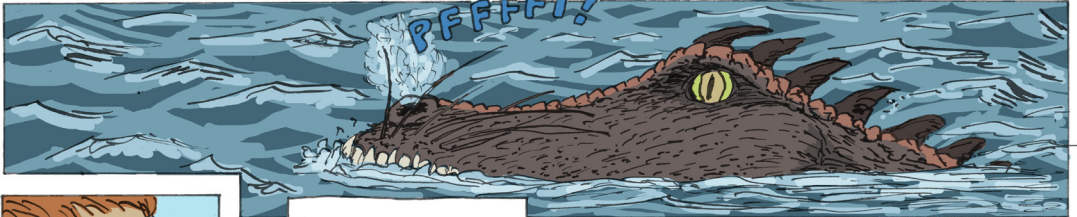
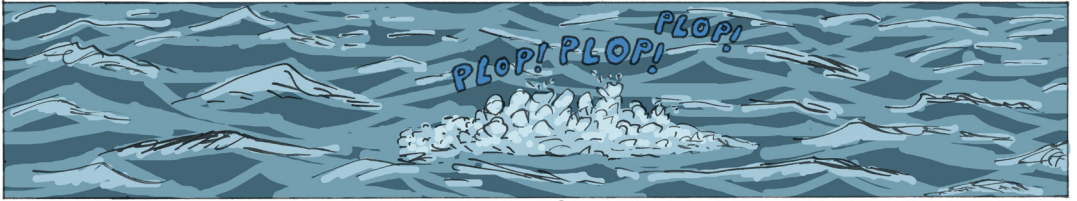
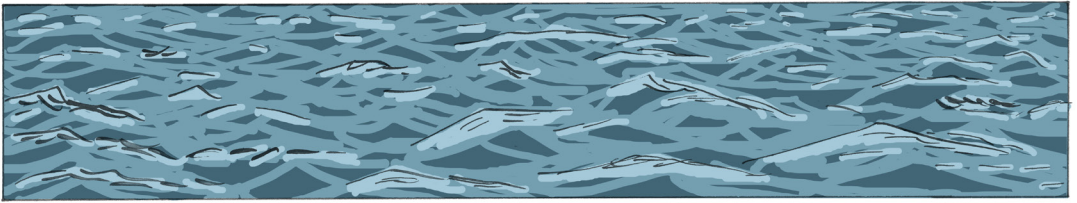
Na drugim brzegu rzeki, zaledwie po drugiej stronie mostu, stały prawdziwe domy. Piętrowe kamienice, w których wisiły dziurawe firany, i przez okna których wyglądały twarze ludzi. Prawdziwych, zdrowych ludzi. Kolejni przechadzali się po płaskim chodniku, nosząc różne tobołki, wymijając stojące w bezruchu widma bez chwili zastanowienia. Za rzeką chodzili ludzie, za rzeką ludzie się śmiali i rozmawiali. Za rzeką biegały dzieci. Za rzeką istniał zupełnie inny świat.

– *L'asile* – wyszeptał ostatkiem sił, zanim poddał się na wieczne władanie wodom Warty.

Katarzyna Wieczorek

studentka pierwszego roku filologii angielskiej na gorzowskiej uczelni.

Od urodzenia mieszka w Gorzowie i z tym miastem wiąże również swoją przyszłość. W wolnych chwilach pisze opowiadania oraz próbuje się w dłuższych formach, a kiedy nie ma pióra w dłoni, czyta powieści fantasy.



OCH! ONE
CIĄGLE NAS
ŚLEDZĄ!

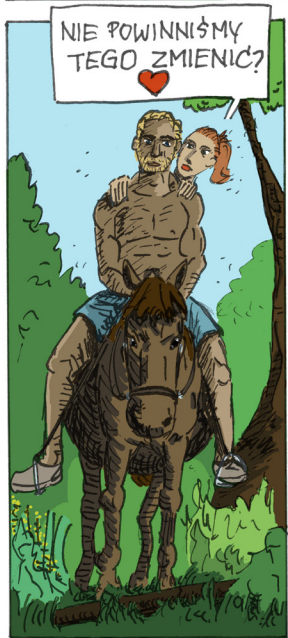




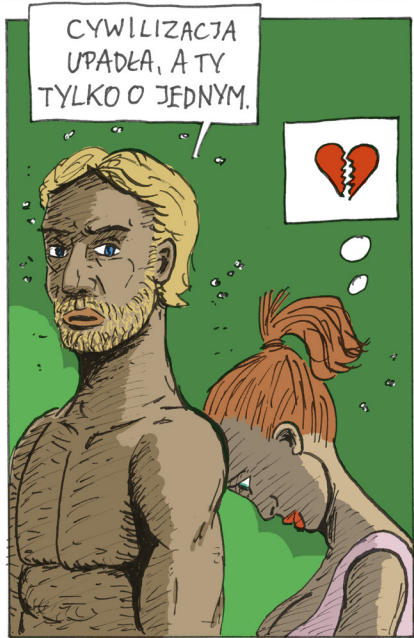
NIE ZWRACAJ NA NIE UWAGI. LUDZIE OD ZARANIA ŻYLI NAD RZEKAMI.

A JEŻELI FAKTYCZNIE JESTEŚMY OSTATNIMI LUDŹMI NA ZIEMI?

NEW AMAZING ADVENTURES OF ADAM AND EVE AND EVE



NIE POWINNIŚMY TEGO ZMIENIĆ? ❤️



CYWILIZACJA UPADŁA, A TY TYLKO O JEDNYM.



O BOŻE! CO ZA BARBARZYŃSTWO! ?



Scenariusz i rysunki: Sebastian Górny

TRASHWORLD

CZYLI MOKRY SEN O SUCHYM LĄDZIE

Po tym jak wskutek dalszego uwalniania węgla do atmosfery wszystkie lodowce na Ziemi stopniały, a poziom wody podniósł się o kilka tysięcy metrów, pozostali przy życiu ludzie zmuszeni byli osiedlić się na wyspach ze śmieci. Głównym celem mieszkańców tych pływających wysypisk stało się dotarcie na Himalaje, gdzie – jak głosiły legendy – ostał się jedyny skrawek suchego lądu. W wielkim wyścigu na „dach świata” brała również udział Zgnilandia, rządzona przez okrutnego despotę Odpadiana II Wstrętneho.

– Wiesz, co Pajl?

– Co, Jus?

– Jedna rzecz nie daje mi spokoju. Na początku XXI wieku mówiono, że jeśli cały lód stopnieje, poziom wody podniesie się o 65 metrów, ale potrwa to co najmniej 5000 lat.

– A widzisz. Naukowcy popełnili czeski błąd i postawili zera nie w tym miejscu. Tak naprawdę poziom wody podniósł się o 6500 metrów, a zajęło to tylko 50 lat.

– Debile...

Pajlof Garbydź i Jusles Rabisz to młodzi marynarze, a zarazem przedstawiciele pierwszego pokolenia, które istnienie kontynentów zna tylko z lekcji historii. Ukrywając się przed żeglarskimi obowiązkami, siedzieli na brzegu wyspy i wpatrywali się w bezkres oceanu. Spokojne fale rozbijały się o beczki po oleju, a na tle zasnutego dymem nieba powiewała foliowa torba z przekreślonym znakiem recyklingu – oficjalna flaga.

Ich ojczyzna, podobnie jak inne wyspy, składała się z tysięcy ton śmieci. Były to w głównej mierze plastikowe butelki związane niedbale rybackimi sieciami. Nie zabrakło też opon, szczoteczek do zębów, długopisów, telefonów komórkowych

i wszelkich innych przedmiotów, które gromadziły się tu od dziesięcioleci, by w końcu stać się ostatnim zdatnym do zamieszkania miejscem na naszej planecie.

Jakaż to ironia, że jeden z najdobitniejszych dowodów niszczycielskiej działalności człowieka okazał się również jedynym sposobem na jego przetrwanie.

– A ten znasz? Dlaczego nie warto kupować namiotu z tworzywa sztucznego? – zachichotał Pajlof.

– Czemu?

– Bo się nie rozkłada!

– Haha, no nie mogę! – parsknął śmiechem Jusles, o mały włos nie rozlewając przy tym filizanki z moczem. Na szczęście w ostatniej chwili zdołał podeprzeć się na bebecchu jakiegoś martwego zwierzęcia. Nazwa Zgnilandii nie pochodziła bowiem, jak można by przypuszczać, od psujących się resztek, ale od zalegających tu i ówdzie truchel fok i albatrosów, którym plastik pozatykał żołądki.

– A więc tu jesteście, cholerni bumelanci! – mężczyźni usłyszeli za sobą znajomy głos bosmana Trasza. Od razu stanęli na baczność i zasalutowali.

– Stroicie sobie żarty, a po drugiej stronie wyspy trwa właśnie abordaż!

– Że co!? – marynarze krzyknęły równocześnie.

Bosman, który na ogół był surowym służbistą, zignorował tę nieregularną odpowiedź i rozkazał im jak najszybciej wrócić na stanowiska. Ci zaś, bez chwili zwłoki, pobiegli we wskazanym kierunku.

Na tych wodach często dochodziło do napadów. Korsarze z Paskudii czy Obrzydliwionu nie przepuszczali żadnej okazji do ograbienia innych wysp z ich nieplastikowych dóbr. Tym razem

agresorem okazało się być Resztkopolis – drobne złodziejaski, słynące z wyjątkowej przebiegłości.

Nieprzyjacielska wyspa sprawiała wrażenie niezamieszkałej. Resztkopolitanie, ukrywający się pod powierzchnią wody, podплыli niezauważeni do brzegu Zgnilandii, po czym sprawnym ruchem opuścili na niego pomost z kartonów po mleku. Załoga po cichu obezwładniła niespodziewających się niczego strażników i rozpoczęła szybki rabunek. Cała akcja trwałaby zapewne tylko kilka minut, jednak tym razem coś stało się piratom na drodze. Okazało się bowiem, że siedzący w bocianim gnieździe marynarz wyjątkowo nie spał! Po wypatrzeeniu intruzów, dał sygnał o niebezpieczeństwie i między wyspami doszło do regularnej potyczki.

Gdy Pajlof i Jusles dobiegli na miejsce, było już prawie po wszystkim. Mechanik Hazardys Łejst okładał właśnie jednego z napastników tłumikiem samochodowym, a starszy oficer Dżank dźgał jakiegoś niedobitka patyczkiem do uszu. Mimo, że starcie można było uznać za wygrane, Zgnilandczycy ponieśli ogromne straty. W ferworze walki połamano bowiem jedyne drzewko cytrusowe na wyspie, co spowodowało wśród mieszkańców upadek morale i skazywało ich na rozwój skorbutu.

Wszyscy marynarze spojrzeli na spóźnialskich nienawistnym wzrokiem. Już zaczęli maszerować w ich stronę, by ukarać ich za zbiegostwo, gdy nagle trzasnęły drzwi kajuty kapitana. Zza nich wyłoniła się potężna postać Odpadiana II Wstrętnego...

– Stać! – ryknął na podwładnych, a ci zatrzymali się w jednej chwili – Na mojej wyspie nie dojdzie do linczu! Jesteśmy cywilizowanymi ludźmi! Nawet tacy łajdacy jak ci dwaj będą mieć sprawiedliwy proces!

Cała załoga przytaknęła z aprobatą. Nikomu nie przeszłoby przez myśl, by sprzeciwić się woli „pana życia i śmierci”.

Narada trwała jakieś siedem sekund.

Na sędziego wyznaczono bosmana Trasa. Stała na skleconej z wózka sklepowego mównicy i zwrócił się do oskarżonych:

– Pajlofie Garbydżu... – Pajlofa nie obchodził wyrok. Martwił się tylko jednym: Kto zajmie się jego terrarium ze zdeformowanymi żółtami? – i Juslesie Rabiszu... – Jusles wzdrygnął się na dźwięk swojego imienia. Tak naprawdę miał się nazywać Ulisses na cześć mitycznego żeglarza, jednak ojciec, prosty urzędnik państwowym, nie był zbyt biegły w pisaniu – starszyzna Zgnilandii uznaje was za winnych samowolnego oddalenia się z miejsca służby. Jako dezertery, zostajecie skazani na spacer po desce! – krzyknął, wskazując na wystającą za burtę klapę sedesową.

Orzeczenie spotkało się z głośnymi owacjami, zarówno ze strony załogi, jak i członków kolegium sędziowskiego.

Winowajcom związane nogi i ręce oraz zastronęto opaską oczy. Oficer Dżank wprowadził ich na deskę klozetową, po czym zaczął szturchać bagnetem do sprawdzania poziomu oleju. Pajlof od razu wskoczył do wody. Jusles zdążył jeszcze rzucić coś w rodzaju: „Jak śmiecie!?”; nim potknął się i spadł.

Uradowana załoga w pośpiechu wróciła do pracy. Mechanik włączył silnik i wyspa z warkotem ruszyła naprzód, ciągnąc za sobą kłęby czarnego jak asfalt dymu. Zgnilandczycy do napędu używali bowiem energii generowanej – jakże by inaczej – z wielkiego pieca, w którym palili śmieciami. Na pokładzie rozbrzmiały zachrypnięte głosy śpiewające wesoło szantę:

*Okręt nasz wplynął w smog,
zapadł wieczny zmrok,
żeglujemy pośród śmieci i gnijących fok.
Kwaśny deszcz pada też, ale nie lej też,
bo na końcu drogi czeka łód przyjazny
dla człowieka...!*

Tymczasem skazańcy mieli się całkiem dobrze. Marynarze straceni w ten sposób nie tonęli od razu. Odpady w oceanie były

dosłownie wszędzie, dlatego wystarczyło złapać się czegokolwiek, co zapewniało wyporność, by utrzymać się ponad wodą. Oczywiście do czasu, aż opadnie się z sił, co przy 50-stopniowym upale nie trwało zbyt długo. Jusles chwycił się starej boi cumowniczej, a Pajlof – pustego kanistra na paliwo. Dryfowali tak jakiś czas, poruszani wiatrem. W końcu Jusles, na wpół przytomny, odezwał się:

– Pajl, przyjacielu, a powiedz mi jedno, bo w sumie nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Czy śmieci były w oceanie od zawsze?

– A skąd! To zasługa naszych mądrych praprzodków mieszkających na lądzie. Przeczuwali oni, że światu grozi zagłada. Że oto nastanie potop i wszystko na ziemi wyginie. Zaradni ludzie, chcąc uchronić przyszłe pokolenia przed utonięciem, zaczęli wyrzucać do rzek...

– Do czego?

– Do rzek. To coś jakby wąskie, podłużne morza wewnątrz łądu. Pamiętasz te niebieskie linie na starych mapach? To właśnie nimi ludzie dostarczali śmieci do oceanów, dzięki czemu mogły powstać nasze wyspy. Wiedzieli, że plastik jest niszczalny i dzięki niemu przetrwamy.

– Chwała naszemu przemyślnemu praojcom! – wykrzyknął Jusles, ostatnimi siłami podnosząc rękę.

– Chwała im! – odparł Pajlof i odwzajemnił gest.

Mężczyźni byli już ledwo żywi, gdy poczuli, że śmieci pod nimi zaczynają się mocniej kołysać. Nagle zerwał się silny wiatr. Olbrzymie fale, hucząc, zalewały skrępowanych marynarzy, którzy na przemian tonęli i wynurzali się z wody. Żaden z nich nie miał już siły, by walczyć ze sztormem. Poddali się woli żywiołu.

– Do zobaczenia na rajskim lądzie! – wykrzyknął Jusles.

– Do zobaczenia, przyjacielu! – odrzekł Pajlof.

Po tych słowach obaj zniknęli w odmętach rozszalałego morza...

Jusles poczuł, że coś siedzi mu na

głowie. Machnął ręką, żeby to strącić i w tym momencie usłyszał przenikliwy, ochrypły głos. Otworzył oczy i ujrzał wpatrującą się w niego papugę. Nigdy przedtem nie widział takiego zwierzęcia, więc odskoczył przerażony.

– Cykor! – wyskrzecztał za nim kolorowy ptak.

Marynarz rozejrzał się i zdał sobie sprawę, że znajduje się na stałym lądzie. Nie był on jednak zrobiony ze śmieci i wyjątkowo nie cuchnął rozkładem. Jusles pierwszy raz w życiu miał pod stopami najprawdziwszy piasek. Podniósł wzrok i dostrzegł, że ponad plażą rozciąga się malowniczy widok. Drzewa, które dotychczas w najlepszym razie widział zanurzone kilkanaście metrów pod wodą, teraz wyrastały przed nim wysoko, zieleniąc się jak butelki po winie.

– Czyli jednak umarłem. Babcia miała rację...

– Jus! – usłyszał dobiegający z oddali głos przyjaciela.

Pajlof w towarzystwie dwóch nieznanomych biegł w jego stronę wzdłuż brzegu. Po dotarciu, objął go radośnie, mówiąc:

– Czuję, że cię odnajdę!

Jusles, jeszcze mocno zdezorientowany, zapytał:

– Gdzie jesteście? I kim są ci ludzie?

– A właśnie! – Pajlof klepnął się w czoło – Poznajcie się. Jus, to są lkoł Frenkli i Kerfor de Planet.

Jusles uściśnął dłonie nowopoznanych mężczyzn. W niczym nie przypominali oni mieszkańców śmieciowych wysp. Mieli ułożone włosy, białe zęby i zdrową cerę. A zamiast przepasanej kablem od żelazka plandeki ubrani byli w czyste lniane szaty.

– To wasz dom? – zwrócił się do nich Jusles.

– Owszem – odparli z uśmiechem.

– Jakim cudem przetrwaliście?

– Po prostu segregowaliśmy odpady, sadziliśmy drzewa i oszczędzaliśmy wodę.

– I to wystarczyło?

– Jak widać nie. Ale udało nam się zachować ten skrawek łądu.

- Poczekaj, aż zobaczysz, co mają w wiosce – wtrącił podniecony Pajlof
- Pomyślałbyś, że z plastikowej butelki można zrobić wazon!?
- Niesamowite!

Jerzy Gałpi

Jestem gorzowianinem od poczęcia. Pracuję aktualnie nad debiutanckim zbiorkiem pt. „Dokładnie tak, jak się myliłem”. Jeśli kiedyś będę bardzo sławny, to z pewnością o mnie usłyszycie! Oprócz prozy pisuję również wierszyki. Ten jest niezły. Powstał na podstawie przeboju Zbigniewa Wodeckiego:

*Lubię wracać tam, gdzie byłem,
tak więc często chodzę tyłem...*

EMISARIUSZ OPATRZNOŚCI

- *Podrzucić monetę, a gdy wypadnie sokół, uderz na odlew, niech leje się krew. Lecz jak wypadnie król w koronie złotej, nalej mi z dzbana żółtego wina drzew. Panno, hej, panno, dlaczegoś damą mą?*

Nucać, przesuwał metodycznie osetką po ostrzu. Miecz nie robił się od tego ostrzejszy. Tak naprawdę nie było na tym świecie siły, która mogłaby go stępić. Z leżącego obok makabrycznie poranionego ciała wydobył się jęk.

- Dlaczego to robisz? – wycharczał umierający. Spomiędzy palców prawej dłoni, którą przyciskał do boku, lał się gęsty strumień ciemnej krwi. Chciał unieść głowę, lecz było to ponad jego siły.

Niosący Zagładę nie odparł od razu. Mrużąc oczy, spojrzał przez półprzezroczyste ostrze. Było tak cienkie, że widział przez nie śpiewające ptaki, skaczące po gałązkach akacji w królewskim ogrodzie. Pierzaści awanturnicy nic sobie nie robili z odartych z życia kilkudziesięciu ciał leżących bez ruchu pośród alejek.

- Co ci z tej rzezi, diable?

- Nie wiesz? – oderwał wzrok od swej broni, kierując zdziwione spojrzenie na konającego władcę. – Przecież Bóg tak chciał. Niestety, jestem tylko jeden, a was jest całe mrowie. I ciągle rodzą się nowi, jak byście nie mogli zaakceptować boskiego wyroku.

- Zapłacę... oszczędź...

- Jedyne, czym możesz zapłacić, to swym życiem. Ty i wszyscy

twoi pobratymcy.

- To... niesprawiedliwe.

Umierający król stęknął. Gdy magowie ogłosili światu, że odkryli sposób na nawiązanie kontaktu z istotami nadprzyrodzonymi, wszyscy wpadli w euforię. Nareszcie mieli mieć pewność, że ich modlitwy trafią do boskich uszu. Nikt nie spodziewał się jednak, że Wszechojciec, którego czcili jako dawcę dobra i miłości, wpadnie z tej okazji w taki szał.

Ciepłe promienie słoneczne grzały przyjemnie. Niosący Zagładę wystawił twarz w stronę gorejącego dysku. Na jego wargach zatańczył beztroski uśmiech.

- Chodzę od wioski do wioski, od krainy do krainy. Ile to już? Z dziesięć lat będzie, nie? Ale z tą górą to przesadziliście. Dlatego sobie trochę pocierpisz, zanim twoja nić życia się zerwie.

W swej furii Wszechojciec zesał na ziemię demona – kata przynoszącego cierpienie i śmierć. Wyrok był bezwzględny.

- Gdybyście naprawdę traktowali tego, którego uważacie za swego Boga, jak, no właśnie, swego Boga, to nie robilibyście mi problemów.

- Nie ma więc ratunku?

Całe armie padały przed Niosącym Zagładę: takie mu nadali imię, jako że on nie używał żadnego. Nie miała się go żadna broń ani zaklęcie. Za to jego cienki jak błona miecz śpiewał pieśń śmierci za każdym razem, gdy został wzniesiony do uderzenia. Klinga, która powinna się

strzaskać od byle ciosu, przechodziła przez najgrubsze zbroje jak przez masło. A Niosący Zagładę metodycznie mordował każdego, kogo znalazł: kapłana, zbrojnego, kmiecia, króla, niewiastę, młodych, starych, niemowlęta. Nikomu nie okazywał łaski, samemu przy tym będąc, co najwyżej, znudzonym.

Magowie – wiedząc, że zbliża się do stolicy – przygotowali fortel. Zwalili na Niosącego całą górę, przygniatając go, wydawałoby się, że już na dobre. On jednak nie był zwykłą śmiertelną istotą. Po kilku latach, akurat w rocznicę swojej domniemanej śmierci, udało mu się w końcu wykopać. Nie był rozwścieczony, raczej delikatnie poirytowany. Jak rzemieślnik, który się spóźnia ze swoim zleceniem. W jednej chwili obwieszone sztandarami i girlandami miasto, które świętowało swoje ocalenie, zamieniło się w podszytą zwierzęcym strachem jatkę.

Pałac był ostatnim bastionem, bronionym przez najlepszych magów i gwardzistów. Każdy jeden z nich leżał teraz w kałuży swojej krwi z rozrąbanym korpusem lub odciętą głową.

Niosący Zagładę wstał, zarzucając swoją pelerynę na plecy.

– Trochę odpocząłem, ale obowiązek wzywa. Twoi poddani puciekali na wszystkie strony świata i znowu muszę się za nimi uganiać. Naprawdę.

Rzucił pełne dezaprobaty spojrzenie w dół na leżącego w kałuży krwi monarchę.

– Po co ci odpoczynek, skoro się nie męczysz? – spomiędzy poklejonych krwią warg wydobyło się wilgotne parsknięcie.

– Sam widziałem jak nawet się nie spociłeś od całodziennego mordowania.

Przytłumiony śmiech Niosącego Zagładę wybrzmiał wyrazistą melodią:

– Jakbyś usiadł w pokoju z dziesięcioma osobami, które się ciągle drapią, to sam byś się w końcu podrapał, mimo że nic cię nie swędzi. Życie w waszym świecie sprawia, że zaczynam mieć przyziemne nawyki. Śpiewam, jem, piję, czasem nawet śpię.

Cóż poradzić, to jest nawet przyjemne.

– Dobij mnie. Proszę – wyrzęził król w agonii.

– Nie ma potrzeby. I tak wyzioniesz ducha. A jak nie, no cóż, możesz być pewien, że wrócę.

Pogwizdując, ruszył przed siebie chrzęszczącą żwirem alejką. Wyczuwał życie istot śmiertelnych wszędzie naokoło, lecz w pewnym oddaleniu. Trochę było mu ich żal, ale nie zamierzał się nad nimi rozczulać. Rozumiał Starego. Jeżeli odkryli sposób, by do niego dotrzeć, to byli też o krok od odkrycia sztuki transcendencji. Tak jak swojego czasu Stary i inni. A oni nie zamierzali popełnić błędu swoich dawnych bogów, których zastąpili. Dlatego, gdy Stary wydobył go z czeluści zagłady, przyodział w fizyczną formę i dał boski oręż, obiecując to, co zostało Niosącemu odmówione wiele eonów temu, ten długo się nie zastanawiał. Podziwiał zresztą Starego – zamiast tracić moc na dramatyczne kataklizmy, ogień z nieba i inne tanie efekciarstwo, zafundował nieuchronną i metodyczną jednoosobową zagładę.

Wieczne życie, kosmiczna moc i koniec udręk, a to wszystko za rozdeptanie kilku mrówek?

Niosący Zagładę zachichotał. Może będzie miał potem kaca moralnego, ale swoje wycierpiał, a za kilka tysięcy lat już może o tym zapomni. Na świecie i tak z czasem wyewoluuje nowe życie, które będzie czcić bogów. Kto wie, może tym razem z małp? Tak, chyba będzie w stanie żyć z takim bagażem doświadczeń. W końcu czas leczy rany.

Opuścił miasto, kierując się na północ i podśpiewując kolejną ludową piosenkę.

Aleksander Trojanowski

Rocznik '88. Warszawiak. Studiował na Warszawskim Uniwersytecie Medycznym i w Szkole Głównej Handlowej. Interesuje się literaturą, zwłaszcza taką, w której nauka jest przyprawiana fantastyką, a fantastyka – nauką. W wolnych chwilach pisze, tworzy muzykę oraz szuka odpoczynku przy grach planszowych.



GORZÓW WIELKOPOLSKI

Projekt jest dofinansowany przez miasto Gorzów Wlkp.

Wspierają nas:



GORZÓW

#StądJestem

 przystan

www.gorzow.pl

 www.GORZOW.pl

 [gorzow_przystan](https://www.instagram.com/gorzow_przystan)



Redakcja i wydawca:

Stowarzyszenie na rzecz Innowacji Społecznych NOVUM
ul. Gwiazdzysta 12/88 Gorzów Wlkp.
e-mail: landsbergon@gmail.com, Tel. 669-847-078
Mariusz Sobkowiak – red. naczelny
Kamil Kwiatkowski – zastępca red. naczelnego
Redaktorzy merytoryczni: Sebastian Górny,

Piotr Jakubowski, Paweł Ferensztajn
Aleksandra Sobkowiak – sekretarz redakcji,
grafika na okładce
Karol Wojdyło – korekta
Skład: Hihi Kalisiak
Druk: drukarniaonline.pl Edward Świrkowicz
Wydanie: Gorzów Wlkp., 30.06.2021 r.
Numer ISSN 2657-5280, www.landsbergon.pl